Warszawa, dnia 27 Maja / 8 Czerwca № 23. Rok 1861

MAGAZYN MÓD

ORZ I MINHEIMERA.

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

Cena. *w Warszawie rocznie* rs. 6. *Półrocznie* Rs. 3. *Kwartalnie* Rs. 1 k. 50. *Na prowincyi rocznie* rs. 7 k. 20, *półrocznie* rs. 3 k. 75
W *Cesarstwie* i *Królestwie*, z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* Rs. 9 k. 20; *półrocznie* rs. 4 k. 75.
Prenumerować można w Redakcyi przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Ekspedycyi główněj **Magazynu Mód** w Księgarni *M. Glücksberga*, przy ulicy Krakowskie-Przedmieście N. 9 (411); w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych, w Księgarni P. W. Zacharkiewicza w Mohylewie nad Dnieprem i we wszystkich Księgarniach w kraju i za granicą.

OBRAZKI NASZEJ PRZESZŁOŚCI

OPOWIADANE PRZEZ

Janka z Bielca.

5.

Kiedy serce gniewem płonie,
Kiedy gromy biją w łonie—
Wtedy bywa chłopska mowa,
Taka dzika, jak dąbrowa
Gdy się skarży przed chmurami,
Że w nią biją piorunami.

Lecz gdy serce chce pogadać,
Wtedy będzie słowa składać—
Tak serdecznie i tak rzewnie,
Że z pod duszy wyjmiesz pewnie,
A dasz chłopu z dobréj woli—
Co pracuje na chléb w roli.

Przeszło w rok czasu po wypadkach dotąd opowiedzianych, pani Adamowa z dwoma znanemi nam dzieweczkami siedziała w altance ogrodowéj, spoglądając smutnie na płynącą dołem Pilicę, i szeroko nad nią rozpostarte błonia. Dzień był cudownéj piękności, prawdziwie majowy, błyszczący słońcem i woniejący wiosną, uśmiechającą się runią ozimą, kwiatkiem w łące i pukającym pączkiem na drzewie. Kościół święcił go czcią Świętego Stanisława, dworki w Łazach rocznicą urodzin i imieniem Stasia, który głowę krwią zbroczoną przytulił do matki ziemi, oddając jéj ostatnie tchnienie miłości i męczeństwa.

Panienki siedzą smutne i milczące, jak dwa kwiatki ścięte kosą i wysuszone skwarem słońca; w matki obliczu pełném powagi przebija się religijne poddanie wyrokom Opatrzności, ów smętek matki Polki od tak dawna w cierniach życia ludzkiego zbratanéj z krzyżem i ofiarą. Pan Michał oparty o ścianę altanki, stoi z założonemi rękoma na piersiach i z głową zwieszoną, patrzy w szeroko rozpościerające się pola i łąki, po których rozlega się smutny ton ligawek pastuszych i klekotek pasącego się bydła. Dawniéj w tém samém miejscu Staś, jako w dzień swego Patrona, odbierał błogosławieństwo matki, serdeczny uścisk pana Michała i pełne szczeroty życzenia ukochanych siostrzyczek; dziś.... biedny Staś!

Po chwili milczenia, snującego myśli z czterech kochających serc, z jednego smutku i z jednéj boleści, pani Adamowa wzniosła oczy ku niebu i składając ręce, wyjąkała na wpół z płaczem:

— Boże!... i za cóż tak mnie okropnie ukarałeś?

— Matko kochana, najdroższa mateczko! — zawołały dzieweczki, tuląc się z płaczem do kolan pani Adamowéj, a pan Michał postąpił parę kroków, i odkrywając głowę rzekł z wiarą i rozrzewnieniem:

— Pani sąsiado! Bóg tak chciał, niech będzie Imię Jego pochwalone.

Ale nie tylko w dworku biednéj matki smucono się nieobecnością Stanisława. Jeżeli się więc nie zgorszycie zacne moje Czytelniczki, to Was przeprowadzę do karczmy przy trakcie położonéj, zwanéj Pochulanka, a należącéj do wsi Łazy.

W izbie pełno ludzi: gwarzą, częstują się, na boku za stołem siedzi włościanin z podpartą głową i z przekręconą czapką na bakier, z pod któréj siwe gęste włosy w puklach aż na ramiona spadają. Twarz ma pochmurną, czoło zmarszczone, a kieliszek stoi nietknięty. Przy nim siedzi młodszy wiekiem, i przerzuciwszy okiem po zgromadzeniu karczemném, trącił w kolano swego starszego towarzysza i rzekł:

— Janie! cóż tak pochmurno po ludziach poglądacie? Trąćcie lepiéj w kieliszek i życzcie mi zdrowia.

— Ej! mój Tomaszu, — odrzekł zagadnięty, pykając dymem z krótkiéj fajeczki, — patrzę po ludziach, a wszystko mi się jakoś smutno robi.

— Smutność mój Janie nie karmi człowieka, tylko mu zdrowie odbiera, więc złóżcie ją na ofiarę Panu Bogu i trąćcie się po przyjaźni, po sąsiedzku.

Gdy kieliszki wypróżnione zostały, Jan nanowo zapalił fajkę, wzdychając odwrócił się ku Tomaszowi i rzekł:

— Pamiętacie Tomaszu naszego jegomości pana Adama?

— O! zaś nie mam pamiętać.

— Mój sąsiedzie! chociaż i pan Michał nikomu wody nie zamąci, ale powiadam wam, że taki drugi szlachcic to teraz i bez wieś nie przejedzie. Jakeśwa razem z pałasiskiem walali się po świecie, to wszystko między nami było jakby w równości: pił wódkę, dał i mnie; nałożył sobie fajkę, i mnie zaraz podał mieszek z tytoniem; było co jeść, to rozkrajał na dwoje, dał mnie jednę, sobie drugą połowę i jeszcze się pytał: czy mi nie krzywda. A jaki nabożny, jaki na wszystko wyperswadowany.....

Stary Jan znowu westchnął, i przechylając głowę zaśpiewał smętnym tonem:

Cóż ja nieboraczek,
Cóż ja pocznę teraz?
Jak sobie przypomnę,
To zapłaczę nieraz.

— Mój Janie, — odezwał się Tomasz po ukończeniu śpiewu, — choć śpiewacie, ale strasznie na smutną nutę, i nie wiedziałem, że macie tak słabą głowę.

— Nie z gorzałki to, nie z gorzałki, mój Tomaszu, ale z frasunku i ze zmartwienia. Nieboszczyk pan Adam, świeć Panie nad jego duszą! jak wrócił ze mną do domu, to mi nadał na całe życie bez pańszczyzny dwudniówkę po Florku. Zawdy co Niedziela przychodziłem do dworu do golenia, to co to było rozgadki, a wszystko o wojskowości, że nam się prawie gęby nie zamykały. Jak się podchował jego Staś, co tamtego roku zginął na wojnie... niebożątko.... to mój sąsiedzie, przyszedł Święty Stanisław tak jakby dziś, to ja wystrugał z drzewa albo pałasinę, albo lancę ułańską, i daléj do dworu do małego panicza. I poczciwi panowie nie pogardzili tym podarunkiem starego żołnierza, podziękowali pięknie, uczęstowali, a ja daléj małego Stasia na kolano i do mustrowania. I dlatego takem się nałożył do tego dnia, że i dziś poszedłem.... i namartwiłem się.... bo jak wyszła starsza pani, jak wyszły panienki niebożątka, to jak mnie zobaczyły, jak nie zaczną płakać, jak nie zaczną biedować—tak człek choć nie kamień, a równie stałem jak kamienny.... i łzy mi... ciurkiem z oczów leciały.

— Ha! mój sąsiedzie, i cóż robić? — odezwał się Tomasz, gdy Jan smutnie zwiesił głowę i dumał, — czy nie wiecie tego, że jak na siedem dni jest jedna tylko Niedziela, tak i na siedem zmartwień jedna uciecha, i to nie zawsze, bo i w Niedzielę nie zawsze bywa pogoda.

Wtém na dworze ozwała się trąbka pocztowa, w chwilę potém bryczka zatrzymała się na drodze i wyskoczył z niéj młody człowiek, cały okryty kurzem, i widać że z dalekiéj przybywający podróży, bo i płaszcz na nim futrem podbity i tłomoczek z rzeczami dobrze wypchany. Stanąwszy przed karczmą, spojrzał po młodzieży wiejskiéj, jakby kogo wypatrywał, i potém szybko wszedł do izby. Gwar natychmiast się uciszył, każdy spojrzał ciekawie na nowo przybyłego, a on przejrzawszy dokoła całe zgromadzenie, zapytał po małéj chwilce milczenia:

— Czy ta karczma do Łazów należy?

— Do Łazów, proszę pana,—odpowiedziano,—ale do dworu trzeba jechać wedle sadzawki, bo i starsza pani, i jegomość, i panienki....

— Więc żyją i są w domu? — przerywając zapytał ze drżeniem nieznajomy.

— Bogu dzięki! żyją w zdrowiu, tylko w wielkim smutku....

— Po panu Stanisławie?

— A jużcić proszę pana, po kimże innym!

— Biedacy! — mruknął nieznajomy i szybko się ku drzwiom posunął, ale spojrzawszy na zadumanego Jana, zatrzymał się i rzekł z czułością:

— To ty, mój poczciwy Janie? i cóż, nie poznajesz mnie?

Stary Jan zerwał się z siedzenia, wlepił oczy w młodzieńca i odezwał się cichym głosem, jakby mu sił brakło od wewnętrznego wzruszenia:

— Nie, nie poznaję.... ale w duszy swojéj czuję jakąś radość... jakby mi ciężar zdejmowano z serca...

— Mój poczciwy i zacny Janie, — odrzekł młodzieniec, ściskając starca za szyję, — to ja, twój Staś...!

— Staś! panicz Staś? a Matko Boska Częstochowska!

— Pan Stanisław! — zawołała cała gromada,— a witajże, witaj! drogi nam paniczu! — i nuż tulić się do nóg młodzieńca, nuż go całować, płakać z tą serdecznością, któréj nie wymodlisz złotem, ani nie wymusisz postrachem.

— Nie pchajta się! — łajał Jan, nagle odepchnięty od tak ukochanego przez siebie młodzieńca,— niech panicz odpocznie!

— Nie pchajta się! — powtórzyli drudzy, a kobiety ocierając oczy dodawały: — niebożątko, mój robaczek kochany, jak się to w téj biedzie postarzał; żeby choć krzynę wódki....

Kto zna, co to jest być czas długi bez wieści od rodzinnéj strzechy; kto poznał, co to jest obawa straty tego, co serce ukochało; kto wreszcie po takiéj moralnéj torturze odetchnął powietrzem ojczystéj ziemi—ten pojmie uczucia wzruszające duszę Stanisława. Rozczulony tak szczerém powitaniem, Stanisław pożegnał wreszcie poczciwą gromadę i ruszył prosto drogą ku wsi prowadzącą.

Wszystko, na co spojrzał, przemawiało do niego wspomnieniem młodości. Na téj niwie, zieleniejącéj podrastającą pszenicą, ostatni raz przed kampaniją związany został razem z Józią i Marynią przez pracowite żniwiarki i zaprowadzony do dworu po wykupno zabawą i poczęstunkiem; na téj saméj drodze z drewnianą szabelką, wystruganą przez poczciwego Jana, pląsał małém chłopięciem; na łące zbierał kwiatki na bukiety dla swoich siostrzyczek; u krzyża wreszcie modlił się za duszę ojca i odebrał ostatnie błogosławieństwo matki przy wyjeździe z domu w dalekie świata strony. Przy krzyżu znalazł wszystko jak było niegdyś: te same grządki z kwiatami i ten sam porządek i opiekę. Rozrzewniony temi dowodami pamięci, Stanisław zatrzymał się chwilkę i ugiąwszy kolana, złożył cichą, dziękczynną modlitwę za cudowną łaskę Nieba, co go ocaliwszy wśród tylu niebezpieczeństw, doprowadziła szczęśliwie na ojczystą ziemię. Kiedy minąwszy wieś i podwórze, wstąpił na ganek rodzinnego dworku, pies leżący w sieni zawarczał i zaczął głośno ujadać.

— Bukiet! Bukiet!— odezwał się młodzieniec,— cóż-to, nie poznajesz mnie poczciwy piesku?

Pies nagle ucichł, pokręcił ogonem i na powtórne odezwanie się Stanisława z radosnym piskiem skoczył mu do piersi, polizał po twarzy, rękach, rzucił się do nóg i otworzywszy łapami drzwi do salonu, z głośném szczekaniem prowadził go do ogrodu.

Monserdzieju! kogo ten pies tak prowadzi?— dał się słyszéć głos pana Michała.

— Leżéć! Bukiet, cicho piesku, cicho! — domówiły panienki.

Stanisław usłyszawszy tak dobrze znane mu głosy, zadrżał radością i oparłszy się o ścianę, głośnym załkał płaczem. W téj chwili drzwi się od ogrodu otworzyły, wbiegły Józia z Marynią, za niemi wolniejszym krokiem pan Michał i pani Adamowa, których Stanisław zobaczywszy, upadł na kolana i obejmując nogi matki zawołał:

— Matko! moja mateczko jedyna! to ja, twój stracony syn Stanisław!

— Staś? mój syn? nasz brat? — odezwały się kobiety.

— Staś! ty Staś? — krzyknął pan Michał,—więc żyjesz?

— Żyję, drogi mój ojcze! żyję i kocham was zawsze jedném sercem.

— O Boże!... więc krwawy nasz płacz przyjąłeś i wysłuchałeś serdecznéj modlitwy?

— Pani sąsiado! łzy ludzkie nigdy nie giną marnie, bo Bóg sprawiedliwy i miłosierny.

— Prawda... prawda... więc dziatki podziękujemy Bogu....!

Po modlitwie i powtórném powitaniu, rodzinne grono zasiadło w saloniku, słuchając opowiadania Stasia i ocierając łzy wyciskane opisem przebytych niebezpieczeństw i wspólnie zawiedzionych poświęceń. Sprawozdanie było krótkie—ciężka niewola nagrodą obywatelskiego poświęcenia. Ale przed wieczorem nowa jeszcze radość spotkała zajętych smutném opowiadaniem; było-to przybycie Grzesia z Aleksandrem, wiernych i nieodstępnych towarzyszy Stanisława, z któremi rozłączył się na ostatniéj stacj, żeby przyspieszyć chwilę powitania tęskniącéj za nim rodziny. Że nowi ci goście serdecznie zostali przyjęci, że Józi serduszko silnie uderzyło—o tém zapewne nie wątpicie: więc na zakończenie tych kilku obrazków dodam tylko, że w rok potém, w jednym dniu, w kościele parafijalnym, kapłan pobłogosławił trzy pary: Stanisława z Marynią, Aleksandra z Józią i Grzesia z Hanką, córką miejscowego gospodarza; i że trzy te rodziny stały się jedną, jak już oddawna, jedném były połączone sercem, jedném uczuciem, i jedném ożywione pragnieniem. Co do pana Stefana, ten na wieki został starym, zużytym gratem społeczeń-

stwa, czyli mówiąc jaśniéj: starym kawalerem. Wprawdzie, na chęciach do małżeństwa nigdy mu nie zbywało, ale na nieszczęście, wybór robił zawsze między panienkami, co nie szukały wsi i kapitałów—ale człowieka; więc pan Stefan ciągle dostawał od kosza. Gdyby był znalazł sobie równą myślą i uczuciem.... ale między młodemi Polkami takich samolubek nie znajdzie pan Stefan; zatém zestarzał się na kawalerstwie, bo musiał; i choć niezmiernie chwalił swoją niezależność, jednak z dniem każdym widocznie stawał się coraz troskliwszym o powierzchowność: zlewał się pachnidłami, wyrywał siwe włosy, a nawet oblewał zimną wodą, żeby rumieniec zatrzymać na twarzy i niszczyć natrętne zmarszczki. Wszystko to jednak nic nie pomagało: w lat kilka pan Stefan dokupił drugą wieś do Grańca, późniéj trzecią i czwartą; kupił karetę, cugi, meble, kupił bogate obicia, obrazy, świeczniki, kupił srebra, zegary, pierścienie, kupił wszystko, o czém tylko mógł zamarzyć... tylko żony nie mógł kupić i zestarzał się, przygarbił, stetryczał, łając siebie, świat cały, a szczególniéj kobiety, co się za wagę złota nie chciały przedać samolubowi.

JAKÓB STRZEMIEŃCZYK.

(1684).

Nad Złotą Lipą, na zielonéj błoni,
Stworzonéj do szerokich bojów i pogoni,
Leżą Brzeżany; gród na okolice
Wśród bujnych sadów spogląda wesoło,
Poważny kościół patrzy w niebios lice,
Wznosząc latami obciążone czoło:
A stary zamek do miasta obrony
Stoi gotów, basztami srodze najeżony.

A wkoło Brzeżan wrą wojenne wrzaski,
A w zamku siedzi hetman Mikołaj Sieniawski.
Mąż ten rycerski posiwiał pod zbroją,
Bo dla ojczyzny i dla świętéj wiary
Służył ramieniem, życiem i krwią swoją.
I nieraz bijał Turki i Tatary:
A jego hufce wiódł w tatarskie tany
Rotmistrz Jakób Strzemieńczyk, wojak zawołany.

W boju, na łowach, w krotochwilnym gwarze,
W pieśni, składaniu rymów, albo przy puharze,
Kroku przed sobą nie dał wziąć nikomu:
Żadne go troski ugiąć nie zdołały,
Wesół, żartowniś w gościnie i w domu;
Znał hetman jego dowcipu wystrzały:
Lubił go widzieć jak hufce zagrzéwał,
Śmiejąc się szedł na wrogów i bitwy wygrywał.

Takim był Jakób, znała go Ruś cała,
I takim śmierć chwalebna w boju go spotkała.
Bo kiedy ordę zwiastowały zdala
Krzyk, jęki ludu i łony pożarów,
Nagle do Brzeżan przypadła jéj fala,
Lecz hetman z klęską przepędził Tatarów;
Wściekli, do miasta zwrócili szał srogi,
A tam ich czekał Jakób nieznający trwogi.

Załoga z zamku przybieżała żwawo;
Strzemieńczyk z pohańcami tocząc walkę krwawą,
Przyparł stłoczonych pod mury kościoła,
I Bóg poszczęścił chrześcijańskiéj broni:
Padł chan z murzami ściśnięty dokoła,
A działa ordę rozmiotły po błoni.
I już po walce; lecz dowódzca dzielny
Strzałą, co mu wpierś wgrzęzła, cios dostał śmiertelny.

Wpół żyjącego bracia, przyjaciele,
Położyli ze łzami pod ścianą w kościele:
A on z uśmiechem, choć krew z rany bucha,
Wyrwawszy strzałę, co mu tkwiła w ranie,
Nagrobek sobie, nim wyzionął ducha,
Krwawém jéj ostrzem nakreślił na ścianie:
—Tu leży Kuba, co miał za herb Strzemię;
Puślisko się urwało, a on hep! na ziemię.—

Franciszek Kowalski.

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

(Dalszy ciąg).

Jeżeli utwor pana Kwiatkowskiego, o którym mówiliśmy w przeszłéj korrespondencji, zostawia wiele do życzenia; natomiast pan Tepa z Galicji prześcignął wszelkie oczekiwania. Akwarela tego artysty, przedstawiająca *Rodzinę Beduinów z okolic Zahla, przed karawanserajem u stóp gór Libanu*, jest niezaprzeczenie artystyczném dziełem. Pan Tepa, lat temu kilka, podróżował na Wschód, do Egiptu i Jerozolimy. Tam więc, na miejscu, schwycił on ten szczególny koloryt, wiecznem słońcem zapalonego nieba. Swiatło w krajach południowych, a szczególniéj w Egipcie, tak jest silne, że wśród dnia nawet, wszystko się tam czarném być wydaje. O południu cień jest prostopadły, ziemia wyziewa gęste kłęby kwasu węglowego, cała okolica zatopiona w ciemno-modrawym, prawie czarnym oceanie światła. Barwa okolic nieba w krajach podrównikowych, jest ciemno-fijoletowa, wpadają-

ca w purpurę, w głębi lekko zakrwawiona. Tu nagie a strome gór szczyty, nieskończone i przerażające głębie widokręgu, ówdzie grunt piaszczysty równin pustyni bez końca, przedstawiają dla artysty najpiękniejsze pejzaże—bo pustynia, to natura abstrakcyjna, to świat illuzji, ocean marzenia. Trzeba widzieć na własne oczy tę majestatyczną panoramę Wschodu, aby odważyć się ją namalować. Chociaż akwarela, a właściwiéj byłoby powiedzieć, obraz p. Tepy, nie przedstawia zupełnie jaskrawych, podrównikowych okolic nieba, ale ciemno-modrawe głębie syryjskie; to przecież niejest-to już ani włoski, ani wcale europejski błękit. W kolorycie tych przestrzeni pan Tepa dowiódł trwałéj pamięci miejscowości, rozwinął niepospolitą znajomość tonów. Zgłębił on tajemnicę spowinowacenia najsubtelniejszych kombinacyj kolorów—tajemnicę niedocieczoną, albowiem sztuka kolorytu obrazów opiera się jedynie na doświadczeniu. Nikt aż dotąd nie mógł skreślić stałych w tym względzie prawideł, lubo one istnieją niezawodnie, tak jak istnieje teorja rysunku. Pan Tepa przedstawił kilku Arabów siedzących w nieruchomém milczeniu, jak Kaïmany, te wielkie jaszczurcze twory podrównikowe. Bogobojni wyznawcy Mahometa w spokojnéj zadumie, połykając smakowity dymek z nargilów, marzą zapewne o raju swego Proroka i ścigają myślą za przyobiecanemi im huryskami siódmego nieba. Typy tych orłów pustyni w spoczynku, są bardzo udatne, ubiory malownicze, w ich oku drga życie, błyska namiętność. Kobieta do karawany należąca, pięknéj, skromnéj, biblijnéj jak Rebeka postawy, z pakietem na głowie, zbliża się do zasiadłego z założonemi na krzyż nogami mężkiego koła. Na górze wznosi się budowa przypominająca ruiny Palmiry. Kilka postaci ludzkich zawiniętych w burnusy, błądzą jak cienie w pośród téj majestatycznéj ciszy przyrodzenia. Tu derwisz wyłazi jak puszczyk ze zgliszcz i pustkowi, ówdzie znędzniały i odarty chrześcijanin błądzi, jak żyd wieczny tułacz, po téj klasycznéj ziemi naszych religijnych podań. Wyznawca Chrystusa gnębiony, prześladowany i cierpiący katusze nędzy i głodu, na téj ziemi uświęconéj stopami Zbawiciela rodzaju ludzkiego, przypomina dawnych apostołów, mordowanych przez dzicz pogańskiego świata. Cierpienie rezygnacyjne tego człowieka, na tle krajobrazu tchnącego uroczystym spokojem, jeszcze więcéj rozdziera duszę. Znojnym skwarem znużone wielbłądy karawany, odpoczywają przegryzając; melancholijny wzrok ich wiruje w tęsknym, uroczystym spokoju widokręgu. Tylko migające światło i lekki powiew wietrzyka z morza, przerywają głębokie milczenie; pośród uroczystéj ciszy w około, pływa jedynie duch tych nieustannie koczujących tu na ziemi stworzeń. Samotność i tęsknota dają poczucie tam gdzieś w oddali uśmiechającego się wesela i nadziei. Cały ten utwor jest oryginalny, miły, silny i harmonijny, studjowany długo i dokładnie wykończony; jest on raczéj obrazem, jak akwarelą. Sumienność w wykonaniu, śmiałość bez wahającego się naśladownictwa, życie i expressja znamionują prace pana Tepy. Artysta ten ma zamiłowanie w swym zawodzie: żadne trudności, żadna walka z przeciwnością na kolczystéj drodze artyzmu zrazić go niebyły wstanie. Są-to wielkie i pożądane przymioty, które go daleko zaprowadzą. Francuzi potrafili już ocenić zaszczytnie prace p. Tepy, i przy każdéj sposobnéj okoliczności nie szczędzą mu najżywszego współczucia. Obecnie nawet, w kilka zaledwie dni, jak otwartą została wystawa, artysta ten już odebrał liczne od nich zamówienia. Z duszy życzę, aby szczęsna gwiazda, co go aż do biblijnych krajów zawiodła, nie przestała nań zlewać i nadal coraz czystszych i wznioślejszych promieni piękna i prawdy....

Wspomniałem, że pan Tepa odbył zajmującą podróż do krainy tradycyjnych podań ludzkości. Otóż radziłbym wszystkim podróżującym dla wydoskonalenia się w malarstwie, a zwłaszcza tym, którzy rodzajowi ewangelicznemu i historji świętéj się poświęcili, jak również utalentowanym pejzażystom, zwiedzić Egipt, Syrją, Palestynę i Arabiją. Natura w tych krajach nierównie piękniejszy i więcéj zajmujący przedstawia widok, jak: Włochy, Konstantynopol i Algier nawet. Dziś naprzykład, z Warszawy do Marsylji, chcąc jechać na Francją, sześć dni się podróżuje, z Marsylji do Jaffy dni dziesięć, a z Jaffy do Jeruzalem dni dwa; razem najwięcéj trzy tygodnie. Koszta życia i przewozu nie przenoszą sześciu set franków. Żadne niebezpieczeństwo przy dzisiejszych środkach podróży nie grozi wcale; i chociaż Francja z Damaszku i Syrji w tych dniach wojsko swe zupełnie ściągnie, to zawsze w zatoce Bejrouth groźne i imponujące floty: francuzka, angielska i rossyjska pozostaną. Te pływające fortece z dostateczną ilością garnizonu, w karbach posłuszeństwa i spokojności dzicz azjatycką utrzymać zdołają. Tymczasem przecie, gwiazda cywilizacji, która po wszystkich krańcach kuli ziemskiéj swe światło rozlewa, wzejdzie też może i dla fanatycznych Druzów, rozbójniczych Turkomanów i innych hord azjatyckich, w głębokiéj ciemni pogaństwa zatopionych.

Wszystkich więc Polaków wystawiających w tym roku wymieniłem. Dodać wszakże potrzebuję, że pan Mackiewicz, zdolny litograf, od lat kilku tu

zamieszkały, wystawił piękny litografowany portret Adama Mickiewicza. (d. n.)

---

* * *

We Czwartek, cały świat chrześcijański katolicki zakończył obchód uroczysty święta Bożego Ciała, sławiąc gromadną pieśnią Pana nad pany i korząc się w modlitwie.

Święty Boże, Swięty mocny!
Zmiłuj się nad nami.

Warszawa przodująca nabożeństwem całemu krajowi, ostatnią procesją, w pośród nieprzeliczonéj massy pobożnych, odbyła na Lesznie z kościoła OO. Karmelitów. Dawniéj o zaszczyt niesienia baldachinu ubiegali się pierwsi dostojnicy koronni: we Czwartek szlachta, a w oktawę mieszczanie z dobytemi szablami asystowali kapłanowi niosącemu Najświętszy Sakrament; dziś... służby téj dopełniają stale członkowie Archikonfraterni literackiéj i innych bractw przy kościołach się utrzymujących. Uroczystość jednak miniona, choć pozbawiona téj zewnętrznéj okazałości, jedném uczuciem, tak dawniéj jak i dzisiaj, napełniała serca pobożnych, poddania się i wiary w miłosierdzie Boże.

Z równą okazałością procesje odbywały się w Krakowie: baldachin nieśli klerycy, po każdéj Ewangelji odzywały się wystrzały z ręcznéj broni; ale gdy lud śpiewał zwykle używane pieśni kościelne, muzyka wojskowa przegrywała świeckie kompozycje, nawet marsze na temata z oper wyjęte, lub hymn austrjacki.

Warszawa nie samą tylko modlitwą i pieśnią wypełnia obowiązki chrześcijańskie; w tych dniach otworzyła jedenastą z kolei ochronkę dla ubogich dziatek, pod wezwaniem Świętego Piotra, na pamiątkę imienin Hr. Piotra Łubieńskiego, Wice-Prezesa Tow. Dobr. Instytucje te, głównie otoczone opieką i staraniem majętniejszych pań, czasowo i stale przemieszkujących w naszéj stolicy; pożytkiem, jaki przynoszą całemu krajowi; dobrem, jakie przy ich pomocy rozchodzi się pomiędzy ubogą, a więc i ciemną massą narodu, w najobojętniejszém nawet sercu musi wywołać uczucie czci, uwielbienia i szczeréj wdzięczności. Nie po słowach, lecz po czynach poznaje się człowiek, a niemała-to zasługa przytulać sierotki do serca, wychowaniem podnosić je moralnie i przysposabiać na poczciwe i pożyteczne obywatelki kraju. Cześć Wam zatém zacne Polki! praca taka—to prawdziwa miłość rodzinnéj ziemi i najlepszy środek na wszelkie nudy, niechęci i owe gorączkowe wyprawy zagraniczne, ubożące kraj i oziębiające dla niego serca.

W tych dniach zwiedziłem jednę z takich ochronek, przy Nowym-Swiecie położonéj, a zostającéj pod szczególną opieką pani Górskiéj. Kilkanaście dziewczynek z rumianemi buziaczkami, ubranych chędogo, obstąpiło mnie dokoła, i nuż szczebiotać jak ptaszki, nuż się popisywać z deklamacją różnych wierszyków, a nawet ballady Mickiewicza „Powrót Taty.“ Mówiącéj z czuciem i z tą śpiewnością deklamacyjną, charakteryzującą młodziutkie główki, przy każdym przestanku, przy najmniejszém zachaczeniu się, inne cichym chórem podpowiadały, i potém chowały się za plecy mówiącéj, jakby się wstydziły swéj suflerskiéj czynności. Z rozrzewnieniem przypatrując się biednym sierotkom, dowiedziałem się, że prawie wszystkie z nich nie mają ani ojca, ani matki, a niektóre prawie wyrwane zostały z rąk żebraczek-matek, niewinnemi temi istotami wyżebrujących grosz miłosierdzia ludzkiego.

Gdyby w tym stosunku jak Warszawa, kraj cały pomnażał ochronki, dziś już wiele rzeczy przekształciłoby się do niepoznania. Że to jest konieczn potrzebą kraju, że dopóki nie wyczerpniemy wszelkich środków moralnego podniesienia ludu—dopóty się u nas żadne ulepszenie jak należy nie rozwinie: to jest rzeczą wiadomą i oddawna uznaną; że zaś lud nas godzien jest wszelkiéj opieki i umie czuć poczciwe, ojcowskie z nim postępowanie, stwierdzają fakta, które z największą przyjemnością powtarzam. I tak:

W Powiecie Nowogrodzkim, w wielu majątkach włościanie wręcz oświadczyli, iż pragną, żeby dotychczasowy stosuek ich z dworem nie został zmieniony. U pana Szalewicza Tomasza, na rozsianą fałszywą wieść, jakoby ten obywatel chciał majątek swój wypuścić w dzierżawę, włościanie wyprawili sześciu gospodarzy za panem swym na kontrakty do Nowogródka, i chodzili za nim krok w krok po mieście, prosząc i pilnując, aby swych dóbr nie wydzierżawiał; odgrażając się wreszcie, że opuszczeni przez pana, poopuszczają domy i gospodarstwa. Z innych miejsc donoszą znowu, że stosunki z włościanami z dniem każdym ulepszają się, czynsze urządzają; a żebyście wiedzieli, jaką Janek z Bielca idąc z Czerniakowa do Wilanowa, miał rozmowę z wieśniakiem z Jeziorny i z jego żoną, jak biedowali nad Jankiem, jak doradzali, jak mu poddawali środki wydobycia się z biedy, tobyście z radości uściskali poczciwców w szynku szklanką wilanowskiego piwa. Serdeczna bowiem mowa zawsze jest jasna i zrozumiała—a lud ma

także serce... i bardzo czujące... tylko oddźwięk z niego niekażdy umié wydobyć.

O panach włości tych nic niepowiem, są bowiem uczucia najlepiéj wypowiadające się milczeniem.... więc w hołdzie ich cnót obywatelskich składam milczenie....

Gazety zaczynają także przebąkiwać o włościanach; pierwsza Pszczoła i Tygodnik illustrowany, w materji téj już głos zabrały; jest więc nadzieja, że i więcéj i częściéj coś usłyszemy. A czas na to wielki, i choć w pismach naszych codziennych mieszczą się rzeczy nader ciekawe i pożyteczne, wzmianki o dziełach u nas i nie u nas wychodzących, często godniejszych śmietnika, jak publikacji—jednak o ludzie nie ma ani słowa, a przecież kwestją najważniejszą, najpożyteczniejszą, najpierwszą i najciekawszą—jest lud, jego oświata i stosunek do klasy ucywilizowanéj. Jak bowiem wóz bez kół nie potoczy się i kroku naprzód, tak i kraj bez ludu zawsze stać będzie w miejscu. O większe więc zajmowanie się ludem, panów Redaktorów upraszamy, choćby z uszczerbkiem bajek politycznych, rozumowań na przypuszczeniach i widzimisiach opartych, i przeróżnych wiadomostek, często ani ciekawych, ani pożytecznych.

ZAGADKA.

Wprost jest trwalszy od budynku,
Wstecz choć napój, rzadko w szynku.

A. T.

(Znaczenie przeszłéj szarady, zadanéj przez *A. T.* — **TUŻURKI**).



Z ustaloną pogodą wiosenną, zapełnia się jak dawniéj ogród Saski, zapełniają inne ulubione miejsca przechadzek; lecz pod względem strojów i zbytków jakże się dziś wszystko zmieniło—nasze Warszawianki nie są-to już owe roje różnobarwnych motylów, ponętne niegdyś dla oka, ale czcze dla myśli, przesadzające się nawzajem próżnością, goniące za ułudą i blaskiem! Dziś wszystko jakoś inaczéj: znać, że myśl dojrzała nagle, otrząsnęła się z krępującéj ją próżności, i obrała sobie poważną i pełną prostoty formę, odpowiednią jéj usposobieniu. Zaręczamy jednak, że wdzięk młodych Polek bynajmniéj na tém nie stracił, bo w najskromniejszém ubraniu można rozwinąć prawdziwie dobry gust; gdy tymczasem przesada i zbytek niezawsze mu odpowiadają.

Okrywki i płaszczyki tegoroczne mają wyraźną cechę panującéj dziś prostoty. Wiele bardzo widać chustek kaszmirowych, objętych materją i frendzlą, lub téż czarnych jedwabnych burnusów i paletotów, bez koronek ani ozdób szmuklerskich. Oprócz tego, mnóstwo ukazało się popielatych płaszczyków, w drobne paski lub kratki, z czarną jedwabną pliską, które zwłaszcza dla młodych osób bardzo ładnie wyglądają. Kupcy nasi, wchodząc w potrzeby dzisiejszego czasu, sprowadzili ich znaczną ilość, i doprawdy, dziwić się wypada ich bardzo nizkiéj cenie. U pana Sobolewskiego naprzykład są burnusiki popielate wełniane, mieszane z bawełną, zacząwszy od złp. 33 gr. 10, do 80 złp. Widzieliśmy jeden w téj ostatniéj cenie: był popielaty w czarne drobne paseczki, u dołu obłożony plisą fularową czarną, szeroką na cztery cale, przyszytą do burnusa z obu stron białym jedwabiem w krzyżyki. Pod tą plisą szła u dołu falbaneczka fularowa fałdowana, na dwa cale; boki obłożone były wązką pliską, kołnierz przybrany falbanką.

Do tegoż składu nadeszły rozmaite bižuterje z czarnéj lawy; między innemi uważaliśmy grzebienie z takąż ławeczką gładką lub wyrabianą; taki grzebień przy jasnych zwłaszcza włosach, bardzo ładnie wygląda. Są także naszyjniki z czarnéj rzniętéj lawy, zakończone małym krzyżykiem; takież same bransoletki, otaczające rękę dwa razy; dostanie wreszcie i osobnych krzyżyków z lawy, które można nosić na wstążce albo aksamitce. Do tych dodaje się zwykle kokarda, w miejscu gdzie krzyżyk do wstążki przytwierdzony.

Do nowości tegorocznych należą krawatki białe muszlinowe z kokardą i końcami, naszyte medaljonami z walansienki, objęte takąż koroką. Krawat taki zastępuje miejsce kołnierzyka. Dostanie ich do wyboru w magazynie pana Sobolewskiego.

Suknie bareżowe, tak czarne jak popielate, największą dziś odgrywają rolę w ubraniu. Panny Kuhnke, niewyczerpane w pomysłach, ubierają je w sposób najrozmaitszy. Uważaliśmy między innemi suknię gładką popielatą z gęstego bareżu angielskiego; u dołu były trzy falbanki fałdowane, szerokie blizko na ćwierć łokcia; każdą z nich zakończała w górze plisa czarna jedwabna na palec szeroka. Stanik fałdowany wkoło do karczka *à l'Imperatrice*, przybrany był czarnemi wypustkami, zapięty na jedwabne czarne guziki. Rękawy z dwoma fałdami u góry, ścięte od łokcia i otwarte u ręki, zakończone były falbanką fałdowaną, przyszytą na rękawie i plisą jedwabną. Do téj sukni dodany był szalik, zwany *plaid Eleonor*, (o jakim pisaliśmy już poprzednio), obłożony czarną wstążką i ozdobiony na kapturku czarnemi kwaścikami.

Inna znów suknia czarna, z bareżu angielskiego, miała u dołu obręb szeroki na pół łokcia. Na tym obrębie naszyta była czarna wstążka dwucalowa w ukośną drabinkę, w odstępach dwa razy szerszych od szerokości wstążki. Każdy pasek

kończył się w górze zębem przez założone spiczaste wstążki. Stanik gładki, cały na podszewce czarnéj, zapięty był na guziki jedwabne. Rękawy fałdowane u góry, zakończone u ręki szerokim obcisłym mankietem, zapiętym na sześć guzików, przewiązane były w środku wstążką, przez co tworzyły dwie bufy. Bufy te dane były na gładkim rękawie z muszlinu czarnego. W pasie dana była szarfa z szerokiéj czarnéj wstążki, z kokardą i długiemi końcami.

Uważaliśmy jeszcze dwie jednakowe suknie popielate, z gładkiego angielskiego bareżu, zapewne dla dwóch siostr przygotowane. U dołu na każdym brycie szły w górę czarne wązkie słupki, otoczone fałdowaną bareżową falbanką. Staniczki były gładkie, rękawy otwarte, garnirowane też falbanką odwracaną na dwie strony, w środku szła pliska jedwabna czarna.

Powiedzmy jeszcze słówko o ładnych kapeluszach pani Sobolewskiéj. Podobał nam się bardzo między innemi czarny włosienicowy, z rondem naszytym w wązkie białe paseczki. Na główkę zarzucony był fanszonik koronkowy, z pod którego spadał czarny krepowy karczek, objęty wstążką. Podpięcie składało się z czarnych kwiatków ze stalowemi środkami, ułożonych nad czołem, i z białéj blondynki po bokach. Szarfy były czarne z białym brzegiem.

Inny takiż sam kapelusz, tém się różnił od pierwszego, że miał podpięcie z białych hjacentów w kształcie piórek, odwróconych nad czołem na dwie strony; w samym środku wpięty był czarny oset. Szarfy czarne miały po brzegach białe kółka.

Śliczny był także kapelusz biały krepowy, pokryty na rondzie czarnym tiulem, haftowanym perełkami z lawy. Na główkę spadała koronkowa chusteczka, przytwierdzona trzema czarnemi astrami. Karczek biały krepowy powleczony był z brzega czarnym tiulem, naszywanym lawą. Podpięcie składało się z czarnych astrów nad czołem i białéj blondyny po bokach. Szarfy białe w poprzeczne czarne paski i czarny rzucik, ślicznie odpowiadały całości.

Opis ryciny.

Fig. 1 Ubranie panienki dziesięcio-letniéj, Suknia popielata popelinowa. Polka czarna jedwabna wpadająca do figury, z wypustkami i obłożeniem pąsowém. Zastąpić można ten kolor czarnym, białym lub fijołkowym. Siatka sznelowa grecka. Kapelusz okrągły ryżowy *Tudor* z piórem. Kołnierzyk i rękawki muszlinowe.—Fig. 2. Ubranie chłopczyka ośmio-letniego. Paltot z korciku letniego popielatego, z obłożeniem czarném aksamitném albo kamelorowém. Majtki z takiego samego korciku. Kapelusz okrągły *Tudor*, z rypsu jedwabnego, z piórem kapłoniém i sprzączką stalową.—Fig. 3. Ubranie panienki dziewięcio-letniéj. Suknia wełniana popielata, z obłożeniem z czarnéj jedwabnéj materji i takiemiż guzikami. Stanik gładki zapinający się z przodu, wycięty czworograniasto. Berta okrągła z tyłu, z przodu ze spuszczonemi końcami. Szmizetka muszlinowa, złożona ze wstawek haftowanych i zakładek, kładąca się pod spód sukni. Rękawki muszlinowe z mankietem zastosowanym do szmizetki. Kapotka jedwabna z główką, w kształcie bufki.—Fig. 4. Ubranie dla panienki dwunasto-letniéj, przystępującéj pierwszy raz do Kommunji Świętéj. Suknia biała muszlinowa z szeroką falbaną i dwiema falbankami karbowanemi albo układanemi w kontrafałdki. Stanik bez bawetu, zachodzący pod szyję, garnirowany falbankami, formujący kanzut czworograniasty. Stanik zapięty na guziki. Rękawy przecinane od ramienia przez łokieć i obszyte również falbankami. Pod spód idzie rękawek zwyczajny z tego samego muszlinu, zapięty przy ręku, z mankietem obszytym falbaneczką karbowaną. Szarfa muszlinowa, garnirowana wązką na dwa palce falbanką karbowaną. Welon z illuzji i wieniec z białéj krepy Książka do nabożeństwa, oprawna w biały aksamit. Rękawiczki białe. Buciki białe. Spódniczka gładka, obszyta u samego dołu dwiema lub czterema falbankami, bez szerokiego wolantu, także bardzo świeżo wygląda.—Fig. 5. Ubranie chłopczyka siedmio-letniego. Bluzka z popielatéj popeliny albo letniego korciku, naszyta z przodu skośnemi plisami z czarnéj materji albo aksamitu. Guziki idą od szyi aż do dołu. Rękaw z mankietem. Pasek lakierowany. Majtki z tego samego co suknia materjału. Kołnierzyk i rękawki z nanzuku.—Fig. 6. Ubranie marynarskie dla chłopczyka sześcio-letniego. Kaftanik z brązowéj popeliny, wolny, wyszyty sznureczkiem czarnym. Majtki również z popeliny. Pas czarny wełniany obszyty frendzlą. Bluzka pod spodem z kołnierzykiem z białego nanzuku. Pończochy białe. Buciki czarne prunelowe.—Fig. 7. Ubranie panienki ośmio-letniéj. Suknia bareżowa popielata, naszyta plisami z czarnéj materji. Stanik gładki, wycięty, przybrany bertą z czarnéj materji, z obłożeniem skośném z bareżu popielatego. Szarfa czarna jedwabna, z zakończeniem z frendzli jedwabnéj. Na ramionach kokardy ze wstążek. Szmizetka i rękawki muszlinowe. Buciki popielate. Majtki haftowane krótkie. Włosy plecione w warkocze.—Fig. 8. Ubranie chłopczyka trzy-letniego. Spódniczka fałdowana z popeliny. Kaftanik zuawski, obszyty wkoło astrachaniją. Pod spodem bluzka z kołnierzykiem z nanzuku i takież rękawki. Kapelusz *Tudor* okrągły, aksamitny czarny z białą kitką. Buciki czarne.

Opis ubiorów mężkich

dodanych do Nru 22 Magazynu Mód.

Fig. 1, 2, 3 i 4. Oznaczają krój czamarki z figury średniéj mającéj objętości w piersiach 47 centymetrów, z wyrysowaniem przodu, pleców, rękawa i kołnierzyka.—Fig. 5, 6 i 7, Przedstawia tak nazwane potrzeby szmuklerskie do ubierania przodków w czamarkach i węgierkach.—Fig. 8. Guzik hebanowy do węgierki lub czamarki.—Fig. 11. Rozmiar kieszonki na piersiach do zegarka, używanéj do czamarki.—Fig. 12, 13, 14, 15 i 16. Desenie do wyszywania sutaszem czyli plecionką szmuklerską, narożników, rękawów i pleców.—Fig. 19. Kołnierzyk do koszuli mężkiéj, służący do czamarki.—Fig. 20, 21 i 22. Krój tegoż kołnierzyka i mankiet do koszuli. Mankiet może być węższy na trzy palce, z potrójnego płótna krajany, tylko w ten czas musi być rękaw u koszuli dłuższy.—Fig. 24. Kołnierzyk stojący do téjże, równo krajany i zapinany, z przodkami pod samą szyję, zastępujący miejsce krawatki.—Fig. 25. Przedstawia popiersie w czamarce.—Fig. 26, 27. 28, 29 i 30. Krój czamareczki na chłopczyka, lat 12 mającego, z wyszyciem i pętelkami do zapięcia na przodzie.—Fig. 31. Spódniczka czamarki dla chłopczyka.—Fig. 32. Mankiet do rękawa czamarki.—Litery *R* i *S*, połączone ze wszystkiemi literami alfabetu.

KORRESPONDENCJA.

Pa. A. Ka.—Przez pranie zmieniłaby się suknia co do czystości koloru; lepiéj przenicować ją i u dołu gdzie nie jest zbyt świeża, obszyć pięć razy fałdowanemi falbankami z dubeltowego tarlatanu lila. Tym sposobem odświeży się suknia i jeszcze bardzo dobrze wyglądać będzie. Stanik niepopruty. Burnusy z innego są materjału jak przysłane próbki.

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina paryzka z ubraniami dziecinnemi.

w Drukarni K. Kowalewskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Warszawa d. 26 Maja (7 Czerwca) 1861 r.



Imp. Mariton.
228.

Héloïse Leloir

MAGAZYN MÓD.

(Modes de Paris)



323

Imp. Mariton

MAGAZYN MÓD

Warszowie